

**Jeśli jesteś kibicem piłkarskim, to znasz dobrze radość zwycięstwa i gorycz porażki. Wiesz, jak to jest fetować zdobytą w ostatniej minucie bramkę i przeklinać pecha, gdy piłka odbija się od słupka, odbierając szansę na kluczowe punkty. Wiesz też jednak, że gdzieś poza punktami, poza wygranymi, poza lokatami w tabeli, kryje się coś więcej. Że twoja drużyna, jakakolwiek by ona nie była, jest gdzieś ponad tym, niezależnie od tego. Trwa mimo wyników. Nauczyłeś się radzić sobie z rozczarowaniem, ze smutkiem, z wściekłością, które wynikają z tego, co w ostatecznym rozrachunku, w szerszej piłkarskiej perspektywie nazwiesz przecież tylko epizodami. Ale są takie chwile, takie momenty, które zostawiają cię ze złamanym sercem. I ze łzami w oczach. Dla wszystkich fanów Romy taki moment, taki dzień jest właśnie dzisiaj. Bo przecież nie co dzień przychodzi nam żegnać się z legendą.**

W takim dniu jak ten, trudno jest wyrazić słowami to, co czują przecież wszystkie żółto-czerwone serca. Bo jak zmieścić w kilku zdaniach karierę jednego z najlepszych piłkarzy w historii calcio? Gracza, o którym Maradona powiedział „to najlepszy zawodnik, jakiego w życiu widziałem”. Czarodzieja piłki, dobrego ducha drużyny, autorytet w szatni i na boisku. Legendę. Mit. Kapitana.

Mówisz Francesco Totti i myślisz Roma. Nie da się inaczej. 28 lat spędzonych w ukochanej drużynie, poświęconych jednym tylko barwom to łańcuch wspomnień, które można by snuć długimi tygodniami. Tylko on ma w głowie je wszystkie. My za to, każdy z nas, kibiców, ma swoje ulubione, ukochane, wypieszczane migawki.

Patrząc, jak okrąża Stadio Olimpico w swojej ostatniej, honorowej rundzie, nie możesz powstrzymać tej lawiny, która zaczyna się w twojej głowie. Magiczne bramki, przekorne „łyżeczki”, technicznych geniusz podszyty boiskowym sprytem, odwagą, dawką bezczelności. Pamiętasz to? Pamiętasz?

Pamiętasz, jak na Euro 2000 w półfinale przeciw Holandii stanął naprzeciw Edwina van der Saara? „Mo je faccio er cucchiaio” powiedział do Maldiniego, a potem z nonszalancją podciął piłkę i wrzucił ją za kołnierz jednego z najlepszych bramkarzy świata?

Pamiętasz, jak w 2001 roku fetował z kolegami Mistrzostwo Włoch, spełnienie marzeń swoich i kibiców, którzy tak długo czekali na scudetto?

Pamiętasz jego „quattro e a casa” (Cztery i do domu) w meczu z Juventusem z 2004 roku?

Pamiętasz derby w 2008 roku, kiedy dograł Baptiście idealną piłkę, a ten zmienił ją w zwycięskiego gola, przyprawiając kibiców o szalony wybuch radości? (O tak, ten mecz pamiętam szczególnie, bo to był mój pierwszy raz na Olimpico, pierwszy raz na Curva Sud!)

Pamiętasz, jak w spotkaniu z Torino wszedł na boisko na cztery minuty przed końcem i odczarował wynik, zmieniając bolesne 1-2 na tryumfalne 3-2, doprowadzając do łez samego Carlo Zampę?

Pamiętasz jego rozpacz, kiedy na kilka miesięcy przez Mundialem 2006 doznał kontuzji, która miała wykluczyć go z tej imprezy? Jego desperacką walkę o powrót do zdrowia? Tamten karny w doliczonym czasie meczu z Australią? I tryumf, i radość, i szaleńczy taniec ze złotym pucharem, po który sięgają tylko najlepsi?

Te magiczne podania, wrzutki, strzały na bramkę. Te kiwki, „łyżeczki”, bomby zza linii pola karnego. Gesty tryumfu, ukłony w stronę Curva Sud, kciuk w ustach, palec uniesiony w niebo. Sei unica.

Takich wspomnień, takich migawek my, kibice Romy, mamy w głowie tysiące. Kolekcjonujemy je, nawlekamy na nitki pamięci, cieszymy się nimi, pocieszamy w chwilach trudnych, w czasach porażek i zniechęcenia. Tak było zawsze. Kiedy było gorzej, kiedy brakowało mocy, kiedy brakowało ognia, był chociaż on. Zawsze był. Do dziś.

Mieliśmy nadzieję, że ten moment nigdy nie nadejdzie. Nie jest młodzikiem, zakończenie kariery wieszczono mu już od jakiegoś czasu, ale przecież do końca nie mogliśmy w to uwierzyć. Nie mieściło się to w naszych głowach. Każdy kolejny sezon z nim w składzie, z nim w roli kapitana traktowaliśmy jako oczywistość. Ale i jako dar od losu. Nie mogliśmy sobie wyobrazić naszej drużyny bez niego. Roma to Totti, Totti to Roma – mówiło wielu, powiedziała dziś także Curva Sud.

Siedemdziesiąt tysięcy ludzi na stadionie ze łzami w oczach żegnało człowieka, który nazaczył nasze życia. Kobiety, dzieci, mężczyźni. A przed telewizorami, w najdalszych zakątkach świata miliony tych, którzy tego dnia na Olimpico być nie mogli. Ze łzami w oczach. Wszyscy. Bo są takie chwile, kiedy łez po prostu nie da się powstrzymać.

Mieliśmy nadzieję, że ten moment nigdy nie nadejdzie. I on też miał taką nadzieję. Trudno, tak trudno jest powiedzieć sobie „dość” – przyznał ze łzami w oczach, czytając łamiącym się głosem pożegnalny list. W takt wzruszającego „Grazie Roma” wyśpiewywanego przez tysiące gardeł schodzi z murawy po raz ostatni. Człowiek, który całe życie poświęcił jednej drużynie, jednym barwom. Mógł wybrać inaczej. Nigdy nie dowiemy się, jak wiele tytułów, jak wiele tryumfów odniósłby, gdyby przyjął oferty najlepszych klubów piłkarskiego świata. Odmówił, choć wiedział, że przekreśla tym wyborem szansę na realizację wielu osobistych ambicji. Wybrał Romę. W świecie piłki, w której coraz bardziej liczy się pieniądz, biznes, autopromocja, taki wybór wydaje się nierzeczywisty, absurdalny, szalony. A przecież tak właśnie było, tak właśnie jest. I może dlatego, tak ciężko, tak strasznie ciężko się z nim żegnać. Bo gdzieś tam w głębi duszy nieuchronnie czai się poczucie, że to może ostatni Mohikanin tej piłki, która była czymś więcej niż tylko pracą. Pasją, przeznaczeniem, miłością. Życiem.

C'è solo un capitano. Jest tylko jeden Kapitan. Dzisiaj może bardziej niż kiedykolwiek.

Autor: kaisa